

DODATEK SPECJALNY do Gminnej Gazety KURENDA

MAJ 2005 / nakład 1200 egz.



**Działaj
lokalnie**

Stowarzyszenie
„Homo- homini”
prezentuje projekt:



„Zachować od zapomnienia”

realizowany w ramach konkursu „Działaj lokalnie IV”
ogłoszonego przez Polsko-Amerykańską Fundację Wolności
i Akademię Rozwoju Filantropii w Polsce

Muchy w kawie ...



Białebłoto k/Ostrowa Mazowieckiego to wieś, w której 70 lat temu urodziła się pani Sabina Landoch. Była najstarszą z rodzeństwa (pani Sabina ma jeszcze 2 młodsze siostry Alicję i Barbarę) i jako pierwsza opuściła rodzinny dom. Niewielka ilość ziemi, jaką posiadali rodzice zmusiła ją do szukania pracy u bogatych gospodarzy. Pracowała także w szkółce leśnej przy rozsiewaniu sosen.

W 1958 roku wraz z koleżanką przyjechały w poszukiwaniu pracy

25 października 1958 roku państwo Landoch zawarli związek małżeński. - W moich stronach obowiązywały inne zwyczaje związane z weselem. Uroczystości rozpoczynały się rano. Pan młody wraz ze swoimi 2 drużbami przyjeżdżał do domu młodej. Starszy drużba przywoził w kopercie wianek upleciony z paproci i białej wstążki. W kopercie były włożone też pieniądze. W zależności od tego ile ich było, tyle starsza drużba stawiała wódki. Była to forma wykupu panny młodej. Śluby udzielane były w niedzielę o 11.00 na sumie. Po przyjeździe z kościoła nikt nie siadał sam do stołu. Panna młoda i drużba zapraszały każdego na poczęstunek, relacjonuje pani Landoch.

- Osobiście także panna młoda ze starszą drużbą zapraszała gości na wesele. Przysłanie komuś zaproszenia pocztą można było uznać za zlekceważenie zapraszanej osoby - wyjaśnia.

- Ja również byłam parę razy starszą drużbą. Pamiętam, że kiedyś ktoś zapytał mnie, kiedy ja przyjdę prosić na swoje wesele. Nie wiem dlaczego, ale odpowiedziałam, że ja osobiście prosić nie będę. I rzeczywiście nie prosiłam, ponieważ ślub brałam tu w Zelgnie a nie w rodzinnej wsi.

Pani Sabina często odwiedza rodzinną miejscowość, w której mieszkają jej siostry i mama. Z sentymentem wspomina jak wypiekała chleb, mędlila len, przędła na kołowrotku nici z pakuł. Niestety nie przywoziła ze sobą żadnych pamiątek, a kołowrotek i krosna spłonęły w pożarze domu.

- Widziałam takie same w Muzeum Etnograficznym. Pokazałam je córce i objaśniłam co, do czego służyło, dodaje.

Dzieciństwo i dom rodziców kojarzy się jej ze smakiem i zapachem kiełbasy, jaką przyrządzała jej mama.

- Była to zupełnie inna kiełbasa niż ta wyrabiana tutaj. Mięso kroilo się w kostkę, doprawiało solą i czosnkiem. Potem upychało się ręcznie te kawałki do flaka i suszyło przy piecu. Jedliśmy prawie to samo, co tu na Pomorzu, tylko podczas Postu jedzenie było kraszone olejem z Inu.

- Święta Bożego Narodzenia, Wielkanoc, Boże Ciało obchodziło się tak samo jak tutaj. Tylko kolęda była troszkę inna. U nas gospodarz odprowadzał księdza do połowy drogi, jaka dzieliła go od sąsiada, a tam czekał już ów sąsiad, który prowadził duchownego do swego domu.

Ewa Maria Gnat

do Zelgna.

- Było to dokładnie 6 maja - wspomina pani Landoch. Przyjechałam do znajomych moich rodziców. Ojciec wyraził zgodę na mój wyjazd tylko dlatego, że jechałam do osób, które znał i miał do nich zaufanie. Wszystko mi się tu podobało: krajobraz, ludzie, gospodarstwa - dodaje.

- Ważny był dla nas fakt, że tu płacono więcej za pracę, nawet 2-3 razy tyle, co w moich stronach. Gospodarze, u których najmowałyśmy się do pracy dawali nam także lepsze jedzenie. Raz tylko dostałyśmy okropną czarną kawę z... utopionymi muchami w środku i chleb z niezbyt ciekawym smalcem i salcesonem - śmieje się pani Sabina. Ale to przykre doświadczenie zrekompensowała nam zapłata za pracę.

W niedługim czasie po przybyciu na Pomorze zakochała się w wzajemnością w młodym gospodarzu z Zelgna, panu Stanisławie.

Z Garwolina do Grzywny



Państwo Janina i Tadeusz Góźdz przybyli do Grzywny z okolic Garwolina, po wojnie w 1946 roku. Wtedy jeszcze osobno, pani Janina z Reducina, a pan Tadeusz z Chęcina. Ponad 70 lat życia to wystarczająco, aby wspominać i zachować to co się przeżyło od zapomnienia. Wszyscy jechali na ziemię odzyskaną w 1946 roku. Jechaliśmy w towarowym wagonie z całą rodziną, jedna krówka, jeden koń. W Urzędzie Ziemskim były informacje. Ziemię rozparcelowano. W Toruniu przyznawano akty własności.

-My zamieszkaliśmy w pałacu w Grzywnie, na jednym pokoiku. Mieszkało tam 16 rodzin. Wszyscy żyliśmy w zgodzie, jedności. Dzielił się tym, co mieliśmy- wspomina pani Janina.

Pan Tadeusz zaś przyjechał w Wielką Sobotę i mieszkał z rodziną w baraku, po pracownikach sezonowych. Chociaż dzisiaj trudno w to uwierzyć, mieszkało się razem ze zwierzętami.

-Dwa lata trwało zanim zamieszkaliśmy w nowym domu. Tatusz postawił dom z drewna.

Domy takie można było przenosić z miejsca na miejsce. Dziś te chaty po części zostały obmurowane i mieszkają w nich inne rodziny- mówi pan Tadeusz.

Miejscowi mówili na nowo przybyłych "bose Antki". W stronach garwolińskich były lekkie ziemie, często ludzie chodzili do kościoła na bosy- stąd nazwa. Wtedy było jeszcze: my- miejscowi i wy- przybysze.

- Pamiętam pranie. Pranie robiono kijankami przy stawie. Tutaj ludzie w majątku tego nie znali, więc przychodzili i podpatrywali jak to kobiety piorą- wspomina pan Tadeusz.

Nie było łatwo, nie było sprzętu, zboże koszone kosą, prace polowe wykonywano ręcznie. Dopiero kilka lat później były przydziały na ciągniki i sprzęt rolniczy.

Ludzie szanowali tradycje, chociaż święta były skromne. Na Święta Bożego Narodzenia pieczono chleb, trochę ciasta. Strojono choinkę (choinka była żywa), wieszając na niej bombki, ciastka, cukierki, łańcuchy z bibułki i własnoręcznie wykonane aniołki. Nie było snopka, tylko garstka siana i serwetka na sole. Opłatkiem dzielono się z rodziną i ze zwierzętami. Po domach chodzili dziady - herody, śpiewając kolędy za pieniądze i jajka. Na stole najczęściej pojawiały się tradycyjne polskie potrawy: kapusta z grzybami, kluski z makiem, kompot z suszonych śliwek, gruszek, śledzie, które kupowano od Żydów wędrujących z towarem po domach. Po kolędzie ludzie dawali księdzu owies lub inne zboże (forma darowizny).

Ciekawostką w obyczajowości wielkanocnej jest to, że tutaj miejscowi nie znali święconek, Garwolińczycy wprowadzili święconkę. Jajka malowano farbami. W szynkę wkładano chrzan i dzielono się jajkiem z chrzanem, składając sobie życzenia.

Śmigus dyngus był bardzo obfity. Chłopcy robili ręczne sikawki z drewna. Pan Tadeusz wspomina również, że na św. Szczepana (w okolicach Miastka) sypano w kościele owsem i kasztanami.

Palmy były małe, ręcznie robione z brzeziny i bazi.

Na Zielone Świątki, domy strojono tatarakiem wokół okien, drzwi, obsypywano ścieżki- tutaj tego nie ma.

Chowano gałązki z Bożego Ciała, które miały chronić przed burzą. Każdą pracę na wiosnę rozpoczynano od Dnia Maryjnego- środa i sobota. Pan Tadeusz wspomina majowy zwyczaj święcenia pól w Garwolinie. Przywiązywano krowy blisko płota. Przez wieś ksiądz prowadził procesję, święcił inwentarz, pola. Procesja zatrzymywała się przy k r z y ż a c h i kapliczkach, odmawiano modlitwy.

Śmierć budziła i budzi trwogę do dzisiaj. Zatrzymywano zegary, zastraniano białym płótnem lustra. Zmarły leżał w domu trzy dni. Wieczorem odmawiano różaniec i śpiewano pieśni. Do trumny zmarłemu dawano różaniec, książeczkę, czasami mężczyźnie czapkę. Stypy były skromne, w domu z najbliższymi. Samobójców ciała ksiądz do kościoła nie wnosił, msza odbywała się bez zmarłego.

Początek życia był radością w całej rodzinie. Poród odbierała akuszerka, w tym czasie wszystkie dzieci opuszczały dom. Nóżki noworodka owijano tzw. powijakiem, aby w przyszłości dziecko miało proste nogi. Czerwona kokardka miała chronić przed urokami. Imię dziecku nadawano najczęściej święte lub po przodkach. Co ciekawe chłopców do chrztu ubierano na różowo, a dziewczynki na niebiesko. Na chrzcie za główkę dziecka wkładano pieniążek - na szczęście. W uroczystości tej uczestniczyli tylko chrzestni.

Wesele poprzedzały zrówniny. Swat z kawalerem, brali wódkę, którą zostawiali w krzakach i szli do rodziców panny młodej. Jak doszło do udanych targów, to wódkę przynoszono.

Na weselu wszyscy jechali w konie. Konie były pięknie przyozdobione kolorowymi wstążkami. Często ścigano się w konie przy tej okazji. Wybierano starszego drużbę i starszą druhnę. Każda panna miała kokardkę i kwiatek. Jak pan młody przyjechał z kawalerami do panny młodej, to każda panna wybierała z tej świty chłopca, przypinała do koszuli kwiatek i to był jej wybraniec na całe wesele. Prezenty parze młodej dawano po oczepinach. Każdemu śpiewano zabawne p r z y ś p i e w k i . Po oczepinach ktoś ściągał pod stołem pannie młodej but, który pan młody musiał wykupić.

Warto zachować od zapomnienia coś, czym można podzielić się z innymi. Dom, który był kiedyś, ten pierwszy zbudowany własnymi rękami pamięta się zawsze. W domu Państwa Góźdz ocalało wiele pamiątek z tamtych czasów: kołowrotek, pasiaki garwolińskie, mędlica. Dziękujemy za przekazanie eksponatów (kołowrotka, mędlicy, pasiaka) do pracowni historycznej w Gimnazjum w Głuchowie, które wzbogacą dotychczasowe zbiory. Dzięki takim darom i gestom młodzież ma możliwość zapoznania się z dawną obyczajowością, kiedy praca ludzkich rąk była niezastąpiona.



Justyna Błaszczyk, Barbara Stachowska, Emil Forajta, Mateusz Błażejczyk

Na Pomorze przez Syberię



Pan Franciszek Olech urodził się 3 września 1928 roku w miejscowości Gorajec Zagroble, gmina Radecznica, powiat Zamość w województwie lubelskim.

Razem z rodzicami pracował w pięciohektarowym gospodarstwie, na które składały się 33 działki rolne (działki te były wąskie i długie).

Bezpośrednią przyczyną zmiamy miejsca zamieszkania była chęć polepszenia warunków bytowych rodziny. Będąc w odwiedzinach u siostry

mieszkającej na Pomorzu i za jej namową, postanowił osiedlić się na tych ziemiach. W okolicach Chełmży mieszkało już wiele rodzin z Gorajca i okolic. Zakupił więc gospodarstwo rolne w miejscowości Skąpe i przeprowadził się do niego w 1975 roku wraz z rodziną. Po osiągnięciu wieku emerytalnego przekazał gospodarstwo synowi Krzysztofowi i jego żonie. Mimo tak sędziwego wieku dobrze pamięta lata swojego dzieciństwa i młodości, które spędził na południowym wschodzie.

Będąc u pana Franciszka wysłuchaliśmy jego wspomnień o zesłaniu na Syberię przez Sowietów.

W 1944 roku po wejściu wojsk sowieckich do Zamościa rozpoczęły się aresztowania i prześladowania ludności polskiej. Jako jeden z pierwszych został aresztowany dowódca Batalionów Chłopskich - Koproński pseudonim Gilas. Podczas przesłuchania dowódca wskazał osoby należące do BCH (między innymi pana Franciszka jako jednego z żołnierzy). Gdy rodzice dowiedzieli się o przybyciu Sowietów, kazali panu Franciszkowi uciekać. Nikt jednak nie przypuszczał, że mogą aresztować osobę niepełnoletnią (mój rozmówca nie miał bowiem wówczas 18 lat). Kiedy Sowietci schwytali pana Olecha, zapytali:

- Czy należy pan do Armii Krajowej?

- Nie. Do Batalionów Chłopskich.

- Dla nas to wszystko jedno. Pójdziecie z nami.

Ostatecznie aresztowano z jednej wioski 6 osób. Po przewiezieniu ich do Zamościa zamknięto wszystkich w piwnicy. Przesłuchiowano każdego po kolei. Nie bito. Następnego dnia samochodem ciężarowym zaczęto wywozić aresztowanych. Więźniowie domyślali się, że jadą w kierunku Janowa. W nocy po długiej podróży dotarli do Tarnobrzegu, gdzie mieścił się sztab NKWD. Tam zostali osadzeni ponownie w piwnicach. Po trzech dniach zostali przewiezieni do Przemyśla. Zamknięto ich w stajni, w której przebywali kilka dni. Podczas pobytu w Przemyślu wszyscy aresztowani zostali ogoleni, ścięto im włosy, kazano im się umyć i zaprowadzono do baraków, w których było już 100 osób. W nocy podjechały samochody ciężarowe, zawieziono aresztowanych na dworzec towarowy i wpędzono do wagonów, w których przewoziło się bydło. W jednym wagonie znajdowało się 95 osób. Cała podróż odbywała się na stojąco i trwała trzynaście dni. Więźniowie jechali przez Lwów, Kijów i Moskwę. Podczas tego transportu zmarły dwie osoby. W wagonie, w którym jechał pan Franek, dopatrzone się próby

ucieczki. W związku z tym, że nikt nie przyznał się, Sowietci zbili więźniów pałkami.

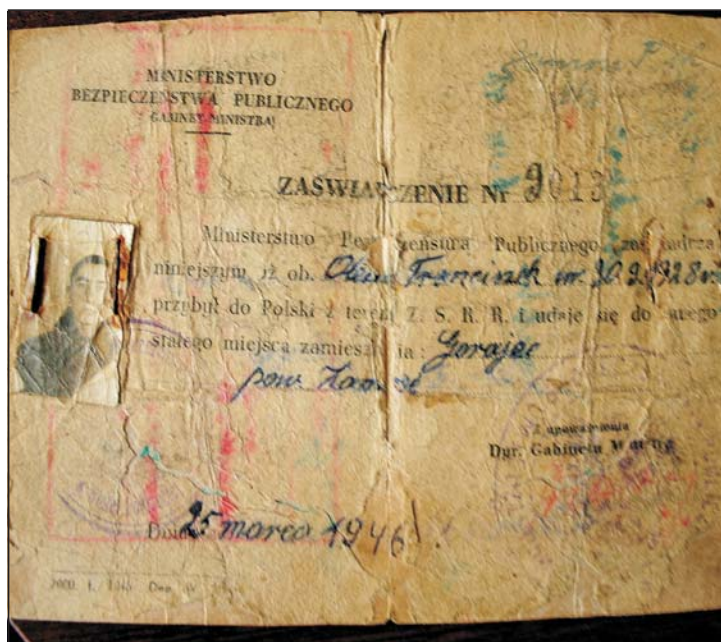
Gdy pociąg dojechał na miejsce, aresztowanych ustawiono piątkami, aby ich policzyć. Dalsza dziesięciokilometrowa droga odbywała się na piechotę. W czasie marszu nie można było się zatrzymać. Gdy ktoś chciał załatwić swoją potrzebę fizjologiczną, musiał robić to podczas marszu. Po dotarciu na miejsce, więźniowie zostali zamknięci w barakach, w których mieściło się już około 500 osób. Barak był ziemianką z drewnianym zadaszaniem. Prycze mieściły się przy lewej i prawej ścianie oraz po środku. Wszyscy spali na deskach a buty kładli pod głowę. Na pierwszy posiłek podczas dnia roboczego dawano około 60 dekagramów chleba. Była to porcja przeznaczona na trzy osoby. Na kolację więźniowie otrzymywali talerz zupy. Pan Franciszek najpierw pracował przy wyrębie lasu. Jego zadaniem było wywożenie drewna na wydzielony plac. Po pewnym czasie został przeniesiony do pracy w kamieniołomach, a następnie do kopalni.

Więźniowie tylko raz w miesiącu mogli się umyć. Prowadzono ich wówczas do tzw. bani (tak mówiono na łaźnię). Po sufitem były zawieszane rury, z których leciała zimna woda czerpana ze studni. Po takim „prysznicu” dawano czyste ubranie, ponieważ stare było zainsektowane przez pchły, wszy i pluskwy. Codziennie rano robiono apel. Tak płynął dzień za dniem.

Gdy nadeszło Boże Narodzenie, więźniowie nie spożywali rano chleba, który otrzymali, po to by wieczorem móc podzielić się z innymi, tak jak opłatkiem. Tego wieczora cicho śpiewano kolędy. Z czasem skazańcy tracili rachubę czasu i dlatego nie obchodzili kolejnych świąt.

Pan Franciszek powrócił do Polski na mocy amnestii z 1946 roku. Na Syberii przebywał więc od listopada 1944 roku do 25 marca 1946 roku. Wracając dojechał do miejscowości Biała Podlaska, gdzie został zakwaterowany w pobliskiej szkole. Przez kolejne trzy dni musiał czekać na otrzymanie zaświadczenia, upoważniającego do odbywania darmowych podróży po kraju w celu szukania rodziny. Po powrocie do domu pan Franciszek ważył 36 kilogramów.

Tak kończy się syberyjska historia przymusowej tułaczki pana Olecha opowiedziana z nieukrywaniem wzruszeniem.



Opowieść spisał i wysłuchał Radek Osuch, klasa 1 Gimnazjum w Głuchowie (opieka merytoryczna: B. Stachowska)

Opowieść Pani Stefanii Osiak



Pani **Stefania Osiak** urodziła się 8 grudnia 1915 roku w Górnym powiat Garwolin. Była jedną z siedmiorga rodzeństwa. Rodzice posiadali 3 hektarowe gospodarstwo. Było to niewiele na tak liczną rodzinę, było ciężko...Pracować trzeba było już w wieku 14 lat. Podczas okupacji Pani Stefania jako nastoletnie dziecko musiała na siebie zapracować. Wojna nie oszczędzała sił ani pracy. „Ja się pracy nie bałam, choć mrozy były silne i nogi strasznie marzły”. Jak wyszłam za mąż to moim dobytkiem była jedna morga ziemi.

Najwięcej do Warszawy trzeba było jeździć, za pracę. Podróż jednak kosztowała a my nie mieliśmy wiele. Na Pomorze przyszliśmy „za chlebem”, jak większość naszych sąsiadów. Pola były porośnięte ostami, zaniedbane. Tutaj wzięliśmy 5 ha ziemi, którą spłacaliśmy w ratach, dorabialiśmy się ciężką pracą. Dochowaliśmy się 7 synów. Za służbę synów w wojsku otrzymałam medal, z czego jestem bardzo dumna. Mieszkaliśmy w pałacu w Grzywnie. Jak chłopcy zaczęli dorastać, to wzięliśmy sobie 12 ha. Kolejno kupowaliśmy inwentarz. Żyło się coraz lepiej.

Święta wspominam jako czas radosny i wesoły. Boże Narodzenie było bogate, zabijano się świnia, robiło się kielbasę. Mieliśmy swoją mąkę, kury, kaczkę, gęsi. Jako jedyna gospodyni w domu miałam nie mało pracy. Sama piekłam ciasta m.in. pyszne torty i chleb. Choinkę stroiliśmy w różne cacka, ręcznie wykonane łańcuszki i aniołki.

Tam było pięknie, ale żyło się ciężko...

19 lipca 1966 roku nowy etap w swoim życiu rozpoczęli państwo Helena i Władysław Kwapisz. Tego właśnie dnia przyjechali z dziećmi do Grzegorza, aby osiąść tu na stałe.

Państwo Kwapisz pochodzą z wsi Gorajec w województwie lubelskim. Tam właśnie w mroźny dzień 27 stycznia 1954 roku w oddalonym o 7 km od Gorajca kościółku ślubowali sobie miłość i wierność. Gospodarstwo, które posiadali rozbite było na wiele drobnych kawałków ziemi znacznie od siebie oddalonych. To bardzo utrudniało im pracę. Namówieni przez swojego znajomego, który przyjeżdżał już wcześniej na Pomorze, postanowili przenieść się do tej części Polski.

Ów znajomy znalazł dla nich gospodarstwo we wsi Grzegorz. Pan Władysław z żoną przyjechali zobaczyć posiadłość i przywieźli tzw. przedpłatę. Byli zachwyceni Pomorzem i gospodarstwem.

- Pola były piękne, płaskie, w jednym kawałku - wspomina pan Władysław.

- Najważniejsze było to, że ziemia była koło domu, dodaje pani Helena. Idąc do pracy w polu musiałam zabrać ze sobą, w długi marsz, całą gromadkę dzieci. Było to bardzo męczące dla mnie i dla nich. Tutaj mogłam postawić wózek koło domu i spokojnie pracować.

Wrócili w lubelskie po dzieci i dobytek. Kiedy sprzedali resztę ziemi, uregulowali wszystkie sprawy, wsiedli do pociągu i ruszyli na Pomorze.

- Przywieźliśmy tylko trochę rzeczy osobistych i narzędzi gospodarskich, wspomina pani Kwapisz. Cały nasz majątek dojechał wagonem później. Pani Korzeniewska, od której kupiliśmy ziemię przyjęła nas serdecznie i użyczyła swoich sprzętów dopóki nie dojechały nasze.

- Okolice, z których pochodzimy były piękne, lasy, strumyki, pagórki. Pracowaliśmy bardzo ciężko, ale zawsze znalazł się czas na śpiewanie. Wieczorem po zachodzie słońca, (pracowało się aż słońce zaszło) we wsi zbierała się młodzież i zaczynały się śpiewy. Zabawy organizowane były w niedzielę po sumie i trwały do 22.00. Nie było zwyczaju, tak jak tutaj, urządzania potańcówek wieczorem. Oprócz tańców dużo również

Na Wielkanoc przyrządzaliśmy szynkę, kielbasę. Jajka farbowałam w wywarze cebulowym, robiło się również święconkę. Obowiązkowo przyrządzałam czerwony barszcz na zakwasie, który kiedyś można było pić jak wino.

Wielkanoc poprzedzała Niedziela Palmowa. Poświęconą palmę wieszano na ścianie, która była piękną ozdobą domu. Palmę wykonywałam własnoręcznie z borówek, trzciny i kwiatów z bibuły. Święta były takie prawdziwe, takie katolickie.

Śmierć i pogrzeb jest smutnym wydarzeniem. Pamiętam szczególnie pogrzeb mojego syna, który zmarł bardzo młodo. Żadna matka nie zapomni bólu i rozpacz po stracie swojego dziecka. Zmarły leżał dwie noce w domu, na stole stały świece, po środku krzyż. Zegary zasłaniano prześcieradłem. Do ściany przybiłam pasiak przywieziony z moich rodzinnych stron. Kwiaty w wazonach były z mojego ogródka. Teraz nie mam sił i zdrowia, aby zadbać o ogródek, a kwiaty „umierają” razem ze mną. Zmarłemu do trumny dawano różaniec, książeczkę. Jeśli zmarły był kawalerem do marynarki przypinano białą kokardkę z merta, a starszym białą chusteczkę. Na koniec przychodził ksiądz, prowadził orszak żałobny do kościoła. Po pochówku był skromny poczęstunek.

Narodziny były wielkim wydarzeniem w życiu każdej rodziny, nawet jeśli było to kolejne dziecko. Dzieci do chrztu zanoszone były w becikach. Imiona dla dzieci wybierano najczęściej katolickie. Czasami po chrzcie, wieczorem przychodził ksiądz na pogawędkę.

Wesela wyprawiano w domu. Tańcowano na podwórku, na tzw. wcześniej ustawionej scenie z desek. Scenę dekorowano pięknie zielonymi gałązkami, mały się również stoły i dom. Panna młoda miała na głowie wianek z merta, suknię białą, długą. Młodzi goście zapraszali się do tańca. W kościele młodzi obchodzili trzy ołtarze dookoła, składali ofiarę do skarboxy i całowali krzyż. Portret ślubny to moja jedyna cenna pamiątka, która ocalała do dzisiaj.

Pomimo upływu czasu i sędziwego wieku, Pani Stefania z uśmiechem i radością wspomina dawne czasy. Doskonale pamięta miłe chwile swojego życia, ale nie zapomina o smutnych momentach. To wszystko jest dziś przeszłością, ale także kawałkiem naszej wspólnej historii, dodaje.

Justyna Błaszczuk, Barbara Stachowska, Aleksandra Gross

śpiewano, wspominają państwo Kwapisz. Do pracy w polu i w obejściu chodziło się boso. Tylko do kościoła zakładało się buty. Przyjemnie było iść łąkami wzdłuż strumieni na boso. Dopiero na drodze przed kościołem zakładano obuwie.

- Na początku nie mogliśmy się przyzwyczaić do innych nazw niektórych rzeczy, produktów, np. u nas mówiło się na wszystko widły, a tu były widły i gafle, tu był szpadel, a u nas łopata, w Gorajcu kupowało się sodę i kaszkę manną, a tu natron i grysik - śmieje się pani Helena.

Sąsiadów bawił też nasz sposób żniwowania. Na południu trzeba było wszystko dokładnie zebrać z pola każdy, prawie kłos. Dlatego grabiliśmy całe pola. Snopki ze zbożem ustawialiśmy w tzw. laleczki 10 snopków ze zbożem przykryte jednym, który pełnił rolę czapeczki i chronił pozostałe przed deszczem czy silnym wiatrem.

- Inne były też zwyczaje związane np. z weselem. W Gorajcu były to wielkie uroczystości, zapraszano nawet 300 osób. Ustawiano coś w rodzaju szwedzkiego stołu, na który stawiano kaszę gryczaną na sypko, kapuśniak, kaszak, amoniaczki, kuchy i korowale. Starościna miała koszyk wypełniony cukierkami i szyszkami (kruche ciastka) i częstowała nimi dzieci, które zbierały się przy drodze, którą do kościoła jechała młoda para.

- Wielkanoc nie różniła się od tej na Pomorzu, no może z małym wyjątkiem. W naszych stronach na kilka gospodarstw przypadała jedna studnia. Obok niej stały duże drewniane koryta, służące do pojenia bydła. Często zdarzało się, że niektóre panny były do nich wrzucane nawet kilka razy, ponieważ Lany Poniedziałek trwał u nas cały tydzień.

- Nie było u nas styp. Piekło się duże drożdżowe ciasta tzw. pierogi. Każdy pieróg dzieliło się na 6 części i częstowało uczestników pogrzebu, aby mogli się posilić w drodze powrotnej do domu.

- W Wigilię przynosiło się stomę i wyściełało się nią podłogę. Leżała aż do poranka drugiego dnia świąt, czyli św. Szczepana. Wtedy to chodzili po wsi tzw. połaźniki (kolędnicy) z owsem, który symbolizował dostatek i urodzaj.

Joanna Rolbiecka, Kinga Ziółkowska., Ewa Maria Gnat